

Mapa

Planowałem napisać coś o RODO z punktu widzenia tak zwanego zwykłego zjadacza chleba. Ale co tu kombinować? Następny wynalazek biurokratów, którym nie wystarczy już to, że zaglądamy nam do portfela i majątek. Chcą widzieć i wiedzieć więcej.

Maciej Stryjecki

Ja też dostałem więcej. Głównie maili. Przez te kilka „dni szczytu” tysiąc, może półtora? Nie przesadzam. Z początku doprowadzało mnie to do szału, bo ilość poczty przekroczyła najpierw zdolność percepcji, a potem wytrzymałość programu Outlook Express (dla współczesnego informatyka to taka grecka rzeźba z utraconymi kończynami). Zareagowałem jednak w porę i wcisnąłem guzik „kompaktuj wiadomości”. Jacek Kłochyba nie, bo mu się skrzynka zatkała i pozostał bez kontaktu na samo kończenie numeru. Potem znalazłem w tej nawałnicy porywy wiatru i uderzenia piorunów. Bo każda wiadomość pochodziła przecież z miejsca, w którym mieli mój adres mailowy. Wiadomo, że trzy czwarte to owoc działalności handlarzy danymi, bo z bankiem Santander i salonem Bentleya nie miałem dotąd do czynienia; ten drugi bym pewnie zapamiętał. Matematyka jest jednak bezlitosna: jedna czwarta to moja wina.

I tak spojrzalem z perspektywy czasu na swoje zainteresowania, potrzeby, zachcianki i „inne sprawy”, o których lepiej by było zapomnieć. Gdzie ja nie byłem, gdzie się nie rejestrowałem? Czego nie kupowałem albo nie oglądałem... Życie mi przeleciało przed oczami, niczym film puszczone w przyspieszonym tempie, a w nim – wszystkie grzechy i słabostki. Ale też sprawy pozytywne. Czym to się człowiek nie interesował, jak był bardziej aktywny i miał większą fantazję... Jednocześnie w głowie kryształizowało się podsumowanie: wszystko się zmienia. Wokół nas i wewnątrz też. Po dziesięciu latach nie jesteśmy

już tymi samymi ludźmi, i wcale nie chodzi o to, że ani jedna komórka, wchodząca w skład naszego ciała, nie jest taka sama.

Z tej perspektywy łatwiej spojrzeć na dylematy filozoficzne, towarzyszące rozwojowi nauki. Ot, choćby teleportacja. Z jednej strony człowiek „włata”. Maszyna zapisuje jego mapę, a następnie unicestwia delikwenta i przesyła. Z drugiej człowiek „wylata”. Maszyna odtwarza mapę i... No właśnie, co? Rodzi się nowy człowiek czy to jego kontynuacja? Dopóki ktoś nie sprawdzi na własnej skórze, nie wiadomo.

Jak już będzie technologia, to ze znalezieniem śmiałka nie powinno być problemu. Japończycy, Koreańczycy i ich sąsiedzi mają inną koncepcję „ja” i łatwo się przyzwyczajają do wirtualnej rzeczywistości. Ba, czują się w niej nieraz lepiej niż w realu. Mnie kusi inna kwestia. Żeby tę mapkę podmienić. I wyjść z drugiej strony bez brzuszka. Taka podróż w czasie, wyprawa po młodsze ciało. Kto wie, może to przyszłość medycyny?

Tak czy owak, RODO pozwoliło mi spojrzeć w przeszłość. Traf chciał, że znalazłem się w niej wkrótce, niestety, w obecnej, niepięknej powłoce.

Ostatnimi czasy jeździłem trochę po tak zwanych „pipidówkach” – podwarszawskich miejscach, circa 1000 dusz. Ledwie 50 kilometrów od mokotowskiego Mordoru, a wchodzi się w inny świat. Czas wolniej płynie? Wcale nie,

bo tam też się ludzie spieszą. Żeby świeży chleb był rano w sklepie itp. Mają równie dobre powody, co krawaciarze z korporacyjnej twierdzy. W czym więc rzecz? W wysokości budynków, zarobków, aspiracji? W pierwszej kwestii rzecz byłaby oczywista, w drugiej i trzeciej – już nie bardzo, a przynajmniej nie zawsze.

Znam wielu ludzi z prowincji. Niektórzy nie znoszą dużego miasta, a na Warszawę mają prawdziwą alergię. Podskórnie czuję, że chodzi o tłum i hałas. Ale też inne okoliczności pokazują odmienne spojrzenie na... Właśnie, co? Zostawmy w spokoju sprzęt hi-fi, a zwłaszcza „wysoką technologię”. Jest i tu, i tam. Zamiast niej weźmy wafelek. Żeby było poważniej – wafel. Taki, jaki robiła babcia. Kręciło się masę, smarowało, a potem przykrywało deską i przygniatało. Kamieniem, wiadrem z wodą, a jeszcze lepiej – dzieckiem. Chcesz zjeść, to posiedź. Siedziałem. Przedwczoraj kupiłem taki w sklepie na Targowej. Sześć małych kawałków za 12 złotych. Były pyszne. W miejscowości Dobre, przy rynku, jest cukiernio-piekarnia. Wstąpiłem. Babciny wafel też był. Zakończyłbym na nim zakupy, ale wszyscy w kolejce mówili „orkiszowy, orkiszowy, orkiszowy”. To tak samo zacząłem; może to miejscowe „dzień dobry”? Dostałem chlebek, którego pyszności wymówić się nie da. Do tego wzięłem dwie drożdżówki, wielkie, piękne i pełne słodkiego sera, takiego prawdziwego. Kefir, fanta i... wafel. Osiem dużych kawałków. Lepszy od tego z Targowej o dwie klasy. Zapłaciłem za wszystko 16 złotych.

Nie, nie. Nie chodzi o smak babcynego cukiernictwa ani o siłę złotówki. Przypomniałem sobie inne realia, inny świat. Istota tego odkrycia tkwi w tym, że jest równoległy, zaraz obok. A portal przenosi tylko na odległość 50 km. Inna rzecz, czy byłbym tam w stanie wytrzymać na stałe, biorąc pod uwagę wspomniane przemiany w głowie?

Mam to gdzieś. Za dziesięć lat będą tam inne komórki. Na wakacje jadę w podobne miejsce. Będę jadł kielbasę z ogniska i patrzył na księżyc przez lornetkę. W domu nie ma klimatyzacji, ale w ogródku jest basen, taki plastikowy, dmuchany. W zupełności wystarczy. Będzie czas, żeby poszperać w głowie i pomyśleć o teleportacji. Na pewno przybędzie kilka kilogramów, więc perspektywa zdobycia starej mapy kusi coraz bardziej.